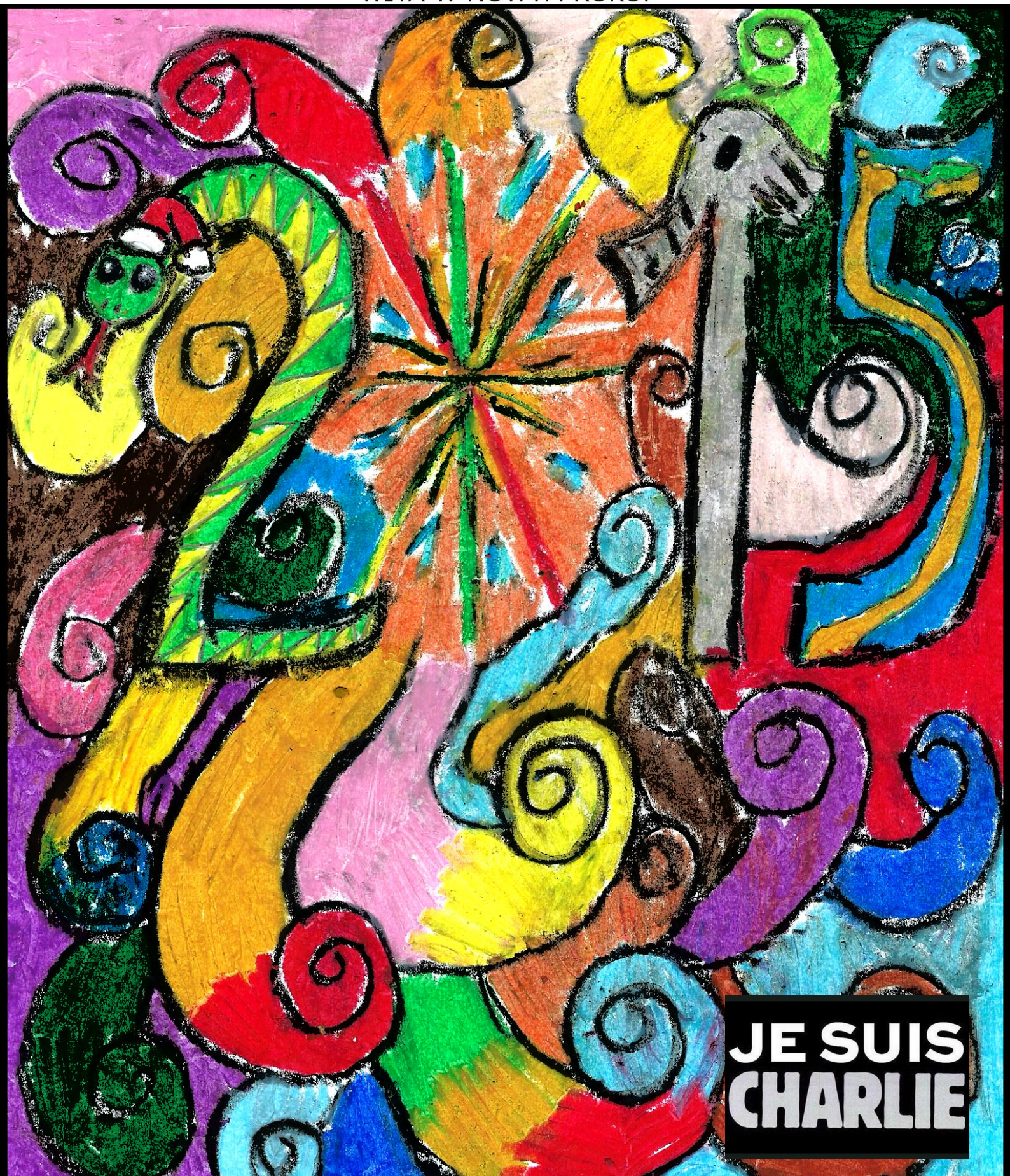


MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
WITA W NOWYM ROKU!



**JE SUIS
CHARLIE**

WSTĘPNIAK

Łukasz Ożóg

Drodzy Czytelnicy, witajcie w 2015 roku. Od początku roku minęło już trochę czasu i mam nadzieję, że wszystkim do tej pory udało się wytrwać w swoich postanowieniach noworocznych, a także zbudzić do pracy po dość długiej przerwie.

W styczniowym „Marginesie” znajdziecie, jak to zwykle w „Marginesie”, same ciekawe artykuły, a także piękną okładkę Damiana. Jego praca nad grafiką w tej gazecie stała się dla mnie już tak naturalna i oczywista, że nie mogę sobie wyobrazić kogo innego w tej roli. Pewnie nie tylko mnie ciekawi, jak będą wyglądały okładki „Marginesu” od maja tego roku. Sentyment nie pozwoli mi szybko zapomnieć o całej działalności w szkolnej gazecie, dlatego zapewne udam się w wolnym już czasie do ZSŁ i pierwszym, za co złapię, będzie egzemplarz tegoż miesięcznika.

Standardowo, oferuję we Wstępnia-ku krótki przegląd dzieł naszych dzielnych Redaktorek i Redaktorów. Renata niezmiennie, od dłuższego już czasu, nie daje oderwać się każdemu z Czytelników od rzeczywistości i uświadamia o wydarzeniach ze szkoły. Zachęcać chyba specjalnie tutaj nie trzeba, chyba jasną sprawą są plusey posiadania wiedzy o swoim otoczeniu. Marcin porusza temat transplantologii. Z początku myślałem, że jego tekst to recenzja filmu „Bogowie”, na szczęście, jak sam zaznaczył, nie wchodzi Arturowi w karierę recenzenta. Artykuł ten to pozycja obowiązkowa dla naszych Czytelników. Nie chcąc nic utrudniać i wymyślać, pozwolę sobie tylko skopiować motto z końca tekstu: „Nie zabieraj swoich narzędzi do nieba – one są potrzebne tu na ziemi!” Może ktoś pokusi się pomóc innym.

Wspominałem także o recenzjach. Zgodnie z normą, pojawiła się recenzja filmu oraz książki. Na szczęście od norm nie odbiega również poziom obu artykułów. Tak Monika jak i Artur spisali się na zasłużone szkolne 5 (czy 6, w końcu nie mnie to oceniać :).

Ciekawy jest też artykuł Karoliny, w którym próbuje odpowiedzieć na kilka pytań, które zadał sobie chyba każdy uczeń tej szkoły. Co z tego wynika, możecie przekonać się sami.

To nie wszystkie artykuły, zachęcam oczywiście do przeczytania pozostałych. Następny egzemplarz już w lutym i jeśli nie nastąpi żaden kataklizm, to będziecie mieli co czytać przez ferie. :)

Co w numerze?

ZSŁ News

s. 3

Miniatury świata

s. 3

Technikum Łączności znów najlepsze

s. 4

Łączność - najgorsza decyzja w życiu?

s. 5

Niezwykłe dania wigilijne

s. 5

Męska szatnia

s. 6

Oddam serce w dobre ręce!

s. 7

Indie: część 5

s. 7

Billy Elliot

s. 8

ruką z podziałką	surowica	marka perfum	szlafroczek	im. śmierć u Plaska	przemycana z Kolumbii	Max, fizyk niemiecki	Tomasz, kierowca	Borys, aktor
plemię amazońskich Indian	wojskowy sztubak		wyznawca religii	przywłaszczanie cudzego	zwierciadło duszy			
			pracują w dokach					wśród lordów
Jane, aktorka	myśli o niej więzien				augustowski w piosence			
			łęczoskrzydła bogini grecka			kau-styczna	wielka radość	
w nią skok	Robert, pisarz	prawy dopływ Wisły	stopień w artylerii					
		wyspa w Małych Antylach				uczelnia w Lublinie		
islamski sędzia	meczeta w Jerozolimie	obok Minnesoty	symbol firmy	McGregor, aktor	twórca mani-cheizmu	Imię z imienia Gina	ruch dloni	cham, ordynus
		gryzoń z tundry					dwanaście tuzinów	"brzeg" w numizmatyce
kopowanie organizmu							Simpson z kre-skówki	
etap pracy tloka		święta rzeka Hindusów					wygrała z Konfederacją	
kraina piranii					pod butami biegacza			

zadanie udośćpnil serwis krzyżówkowy szarada.net

Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Górsczak
Łukasz Ożóg
Krzysztof Franiek
Damian Hanusiak
Artur Kawala
Marek Siwecki
Maciej Pietrzyk
Renata Makuch
Michał Ambroży
Monika Sajbura
Konrad Sznajder
Karolina Potoczak
Konrad Makuch

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl



MARGINES
Gazeta Szkolna

ZSŁ News

Renata Makuch

CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

Po raz kolejny, na łamach szkolnej gazety, spotykamy się w nowym roku. Po długiej przerwie, zawitaliśmy do ZSŁ pełni energii i wrażeń po zabawach sylwestrowych. Pomimo tak długiego odpoczynku wszyscy oczekują na ferie zimowe, które w tym roku zaczną się dopiero 16. lutego.

Zacznijmy od najsmutniejszych wieści – 15. stycznia br. odbędzie się zebranie z rodzicami.

W dniu 12. grudnia 2014 roku odbył się III Mikołajkowy Turniej Szachowy zorganizowany przez Samorząd Uczniowski Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 8 w Krakowie, który znajduje się przy ul. Na Błonie. Uczniowie naszej szkoły również wzięli w nim udział. Na III miejscu usytuował się Bartłomiej Czarnota z 11d. Jako nagrodę otrzymał dyplom, puchar oraz wybraną książkę. Gratulujemy!



19. grudnia był dniem spotkań wigilijnych. Odbyło się również spotkanie opłatkowe dla nauczycieli, zaproszonych gości oraz emerytowanych pracowników naszej szkoły.

Za nami już egzamin potwierdzający kwalifikację E.2, E.6, E.15 dla klas teleinformatycznych, elektronicznych i telekomunikacyjnych oraz poprawkowy egzamin E.12 dla tych uczniów klas informatycznych, którym rok temu powinęła się noga.

Zainteresowanych maturzystów zachęcam do zapoznania się z ogólnopolskim konkursem „O Złoty Indeks PK”. Konkurs organizowany przez Politechnikę Krakowską odbywa się w dwóch dyscyplinach: matematyka i chemia. Rejestracja kandydatów potrwa do 18 stycznia 2015 r.

Ktoś jest chętny zrobić reportaż? Jeśli tak, to zachęcam do udziału w konkursie organizowanym przez Wojewódzki Urząd Pracy i Instytut Badań Edukacyjnych, którego celem jest stworzenie fotoreportażu pt. „Jak wiedzę i umiejętności przekuć w sukces zawodowy? Historie prawdziwe.” Termin składania prac upływa 13. lutego. Zainteresowanych uczniów odsyłam do SZOKu.

28. stycznia w kościele ss. Norbertanek na Salwatorze po mszy świętej o 18.00 odbędzie się koncert kolęd naszego szkolnego chóru „Łącznik”.

To chyba wszystko w tym wydaniu ZSŁ News, polecamy się na przyszłość.

KONKURS NA REKLAMĘ SPOŁECZNĄ „JAK OSZCZĘDZĄC ENERGIE”

TAURON
to więcej niż prąd

ENERGO-OSZCZĘDZANIE NA EKRANIE!

Weź udział w konkursie i zgarnij fantastyczne nagrody!

- 1. Zbierz ekipę przyjaciół
- 2. Wybierzcie wśród nauczycieli swojego opiekuna
- 3. Zróbcie klip reklamowy „Jak oszczędzać energię”
- 4. Głosujcie na filmy i zgarnijcie nagrody



Miniaturowy świat

Monika Sajbura

„MIŁOŚĆ, POŻĄDANIE, ZDRADA I MROCZNE SEKRETY BOGATYCH KUPCÓW W SIEDEMNASTOWIECZNYM AMSTERDAMIE.”

Ostatnio kolega powiedział mi, że czytam tylko horrory albo fantastykę. Zrobiłam rachunek sumienia i z przykrością stwierdziłam, że ma rację.

Do tego na Facebooku powstało wydarzenie „Prze- czytały 52 książki w 2015 roku”, na którym ludzie piszą tytuły czytanych przez siebie książek. Jedna użytkowniczka zainspirowała mnie krótkim opisem „Miniaturzystki” Jessie Burton. Tak bardzo spodobała mi się jej pochwała tej książki, że skończyłam czytać lekturę na j. polski w jeden dzień i od razu wzięłam się za czytanie dzieła Pani Burton.

Główną bohaterką jest drobnutka osiemnastolatka - Petronella Oortman pochodząca ze wsi. Wyszła ona za amsterdamskiego kupca, Johanna Brandta, którego znała praktycznie tylko z listów. Książka rozpoczyna się w dniu, kiedy Petronella ma oficjalnie zamieszkać w domu swojego męża, w ogromnym, pięknym domu w centrum Amsterdamu. Gdy puka do drzwi, otwiera siostra jej męża, który wyjechał w podróż. Pierwsze dni w nowym domu są bardzo trudne dla Nelli. Powrót męża również nie jest dla niej taki, jaki sobie wymarzyła, jednak Johannes podarowuje jej miniaturowy domek będący kopią domu, w którym jej przyszło zamieszkać. Nelli listownie zatrudnia miniaturzystę (miniaturstwo było sztuką

wytwarzania i malowania miniatur), który ma wykonać kilka rzeczy do miniaturowego domu. Wraz z zamówieniem miniaturzysta dołącza jeszcze kilka mebli, które są odwzorowane z domu Johanna oraz kilka figurek mieszkańców i osób, z którymi dziewczyna wcześniej miała styczność.

„Miniaturzystka” zaczyna się jak typowy romans historyczny. Trochę mnie to zaniepokoiło, jednak po kilku stronach wiedziałam, że nie pójde szybko

spać. Zauważyłam też po raz kolejny, że prawdziwe jest powiedzenie „nie wolno oceniać książki po okładce” bo „Miniaturzystka” może zaskoczyć niejedną osobę. Jessie Burton odeszła od szczegółowych i obszernych opisów, co bardzo przyspiesza akcję, jednak przez to czułam ogromny niedosyt opisu samego Amsterdamu, zwyczajów i ludzi tam żyjących.

Książka zaskakuje przede wszystkim dlatego, że Petronella Oortman jest postacią autentyczną, a jej miniaturowy, bogato zdobiony i umeblowany domek istnieje naprawdę i można go zobaczyć w Rijksmuseum w Amsterdamie.



Technikum Łączności znów najlepsze

Przemcyś

ŁĄCZNOŚĆ TO PRZYSZŁOŚĆ

fot. Kamil Przybyło

Najlepsze polskie szkoły zostały nagrodzone, a wśród nich oczywiście Technikum Łączności nr 14, które od samego początku publikowania rankingu przez miesięcznik „Perspektywy” plasuje się w jego ścisłej czołówce.



Rozdanie nagród miało miejsce w Auli Kryształowej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, no właśnie „w Warszawie”. Na samą myśl o stolicy naszego kraju rodowym krakusom odechciewa się czegośkolwiek, a już na pewno 5-cio godzinnej podróży samochodem. Jako, że nauczyciele jak i uczniowie naszej szkoły przywykli już do pokonywania wszelakich trudności, o godzinie 6:00 pod „kierownictwem” ks. Andrzeja Gołębiowskiego wyruszyliśmy w kierunku województwa mazowieckiego. Podróż minęła w atmosferze wyjątkowo sennie, w końcu, kto z własnej woli wstaje w środku nocy.



Po przybyciu do „Warszafki”, wypiciu kilku kaw, skonsumowaniu kilku ciastek oraz skomentowaniu ubioru uczniów innych szkół (biała koszula, spodnie od garnituru oraz zimowe buty w kolorze tropikalnej pomarańczy) rozpoczęła się uroczysta gala. Mieliśmy zaszczyt oglądać wspaniały występ Ludowego Zespołu Artystycznego PROMNI, wzbudzający zachwyt wszystkich zgromadzonych oraz wysłuchać przemówienia gospodarza dzisiejszej gali, który niestety skupił się głównie na reklamie własnej uczelni, a nie na samej uroczystości.



Po serii monologów przyszła pora na rozdanie nagród i pamiątkowe zdjęcia, które o dziwo stały się główną atrakcją tego popołudnia za sprawą znakomitego fotografa. Następnie na scenie pojawiła się redaktor miesięcznika „Perspektywy”, pani Biana Siwińska, a po chwili nagroda za zajęcie pierwszego miejsca w Rankingu Maturalnym Techników była już w rękach pana dyrektora Antoniego Borgosza. Należy dodać, że nasze technikum zajęło również drugie miejsce w Ogólnopolskim Rankingu Techników, pokonując ponad 1800 szkół z całego kraju. Jest to ogromny sukces, który udowadnia, że Zespół Szkół Łączności jest elitarną placówką, a jej uczniowie wiedzą, po co tu przyszli. Cała gala odbyła się w bardzo miłej i towarzyskiej atmosferze, jedyne, co mogło trochę burzyć ten ład, to fakt, że otoczka wręczania nagród dla liceów miała znacznie większy rozmach, ale czy nas to martwi? Chyba nie. Całej naszej delegacji wyjątkowo przypadł do gustu wspomniany już wcześniej pan Fotograf, który rozbawiał zgromadzonych swoimi komentarzami takimi jak: „Super, jest pięknie, ale weźcie siostrę (zakonnice) w środek.”

Podczas podróży do Krakowa usłyszeliśmy w radiu piosenkę Ryszarda Rynkowskiego, o jakże wymownym tekście: „Konduktorze łaskawy byle nie do Warszawy”, która skłoniła wszystkich do wspomnień o podróżach życia i nie tylko. I w takiej oto radosnej atmosferze dotarliśmy do Grodu Kraka.

Łączność - najgorsza decyzja w życiu?

Karolina Potoczak

GDZIE PRZYWIÓDŁ NAS TEN WYBÓR?

Za nami już pierwszy semestr nauki. Dla wielu z Was był to czas osvajania się ze szkołą i nowym środowiskiem. Dlatego postanowiłam zadać parę pytań pierwszacom, aby dowiedzieć się, czy uważają, że wybór tej szkoły był błędem oraz by porównać po raz kolejny opinię chłopców i dziewczyn.

Myślę, że warto tu trochę powspominać. Może niewielu z Was obchodzi moja historia, ale niestety umieszczę tu jej fragment. Moja przygoda z łącznością nie zaczęła się we wrześniu ubiegłego roku. Trafiłam tu przez całkowity przypadek. W wakacje bowiem stwierdziłam, że moją życiową drogą jest liceum i tak trafiłam do „trzynastki”. Mimo świetnych ludzi po miesiącu wiedziałam, że nie jest to szkoła dla mnie. I tu powinny pojawić się podziękowania dla paru osób z obecnej 2 Id. W dużym stopniu właśnie dzięki nim podjęłam ten „desperacki” krok i w końcu znalazłam się tutaj. Jednak na początku nie było tak kolorowo. Pierwsze tygodnie - pierwsze niezdane kolokwium, masa materiału do nadrobienia. Byłam przekonana, że łączność była najgorszą decyzją w moim życiu...

A co o tym wszystkim myślę teraz? Teraz już wiem, skąd wzięły się pytania: „Jesteś tego pewna?”, „Dasz sobie radę?”, „Wiesz, że to męski klasztor?”. Mimo że moja mama ciągle dawała mi szansę wyboru innej szkoły, zostałam tu. Dlaczego? Bo ta szkoła uzależnia. Z jakiego powodu? To pytanie kieruję do pierwszoklasistów, w końcu ten artykuł nie miał być o mnie.

- Czy żałujecie wyboru tej szkoły?
- Co najbardziej Wam się w niej podoba?
- Co jest w niej denerwującego?
- Jaka jest wasza ogólna opinia na jej temat?

Niestety nie otrzymałam wyczerpujących odpowiedzi. No tak, nasza twórcza szkoła. Humanistów tu dużo nie znajdziemy. Pewnie większość z Was woli napisać jakiś program, zagrać czy pospać na przerwie niż udzielić mi wywiadu. Ale czegoś udało mi się dowiedzieć. Wszyscy, których pytałam, są zadowoleni ze szkoły, atmosfery, kolegów, znajomych i nauczycieli. I tu możemy obalić jeden mit, bowiem chłopcy mniej narzekają na naszą szkołę niż dziewczyny. Zatem płęć piękna wcale nie ma tak łatwo. ;) Jedynymi wadami, jakie wymieniali nasi koledzy, były: konieczność przebijania butów (ale kto normalny będzie robił z tego duży problem) oraz brak dziewczyn (każdy wcześniej wiedział, że tak będzie). Za to odpowiedzi dziewczyn były różnorodne. Niektóre skarżyły się na, delikatnie mówiąc, przykry zapach najczęściej panujący w szatniach (może to być taka mała sugestia dla panów), inne na chaos i brak jakiegokolwiek ładu, jeszcze inne na bałagan, który często nie przeszkadza męskiej części. Największym paradoksem było jednak stwierdzenie, że mimo iż wszystkim tęskno za dziewczynami, powszechnie panuje przekonanie: „Nie ma dziewczyn, nie ma problemu”. Cóż więc można więcej dodać. Płynie z tego jeden wniosek - mimo tej ogromnej dysproporcji, ilość dziewczyn i chłopców jest idealna.

Podsumowując, możemy przyznać naszej szkole bardzo mocne 9,5/10 (i tak wiemy, że ZSŁ jest najlepsze ;)). Powinniśmy więc być z siebie dumni. W końcu my wszyscy tworzymy wielką łącznościową rodzinę i ten klimat.



Niezwykłe dania wigilijne

Maciej Pietrzyk

CIĘKAWY POTRAWY NA SZCZEGÓLNY WIECZÓR

Po Świątach, leżąc z pełnym brzuchem, zacząłem zastanawiać się, jakie potrawy pojawiają się na polskich stołach wigilijnych. Oczywiście nie rozwodziłem się specjalnie nad żurkiem czy karpem, bo jak każdy się domyśla, występują one najczęściej, a ich smak nie jest obcy żadnemu z nas. Zaciekały mnie te najbardziej wymyślne i najrzadziej spotykane (przynajmniej w moim otoczeniu). Na co trafiłem?

Tej zimy pierwszy raz natknąłem się na siemionkę. Pomimo małej ilości składników, wydaje się być ciekawą i dość rzadką potrawą. Do jej przygotowania potrzebne jest tylko siemienie lniane, mleko, masło i sól. Choć nie wymaga wielu składników, nie jest to potrawa łatwa do zrobienia w krótkim czasie, a jej przygotowanie wymaga więcej wysiłku niż mogłoby się wydawać. W pierwszej kolejności należy siemienie pozostawić w wodzie na całą noc, aby dobrze namokło. Następnego dnia należy je zagotować, zmielić, przetrzeć przez sito i wlać na gotujące się mleko. Istotą rzeczą jest, aby uzyskać gładką, gęstą, kremową konsystencję. Na końcu należy dodać masło i sól do smaku.

Drugą, do tej pory nieznaną mi, potrawą wigilijną jest Kutia. Tutaj ilość składników jest trochę większa niż w przypadku pierwszego dania, a mianowicie składa się z łuskanej pszenicy, suchego maku, mleka, miodu, rodzynek, kandyzowanej skórki pomarańczowej, orzechów włoskich, daktyli i fig.

Aby ją przygotować, należy wyplukać i zalać wodą pszenicę i znów, jak w przypadku siemionki, pozostawić ją na całą noc. Po odczekaniu należy gotować ją około trzech godzin tak, aby była miękka, lecz nie rozgotowana. Zgodnie z informacjami, które pozyskałem, woda podczas gotowania powinna być parę razy wymieniana. Po ugotowaniu należy ziarno odcedzić i poczekać, aż wystygnie. W kolejnym etapie należy zająć się makiem: zalać go gotującym się mlekiem i gotować, dopóki nie będzie się go dało rozetrzeć w palcach. Kolejno przestudzić, przecedzić i przemielić dwukrotnie na maszynce do mięsa z gęstym sitem. Na samym końcu trzeba połączyć mak z pszenicą i miodem oraz dokładnie wymieszać, po czym zaparzyć rodzynek, posiekać resztę składników i całość jeszcze raz zmieszać ze sobą. Podobno najlepiej smakuje podawana na zimno.



Czasami wystarczy poprosić ludzi z innych okolic niż nasze rodzinne, niekoniecznie bardzo odległych, aby poznać nowe i ciekawe przysmaki kuchni wigilijnej. Ja w tym roku zetknąłem się z dwoma powyższymi, do tej pory dla mnie egzotycznymi i nieznanymi potrawami, jednak lubię poznawać nowe dania, dlatego jestem ciekaw, jakie są Wasze niezwykle specjały wigilijne, którymi delectowaliście się w te Świąta?

Męska szatnia

Łukasz Ożóg

MIEJSCE SPOTKAŃ I ROZWAŻAŃ. JAK KSZTAŁTUJE NASZE ŻYCIE I JAK MA SIĘ DO MIEJSC O DOKŁADNIE ODMIENNYM CHARAKTERZE?

Zapraszam do krainy wszechobecnej prostoty i szorstkości. Logiki, braku utrudnień i wszechobecnego zrozumienia. Przekraczając jej wrota, stajesz się jednostką suwerenną, która jednak bez rady kumpli woli nie wypuszczać się w przód. Całą oschłość i wizerunek twardziela, pokazywany poza tym ustronnym miejscem, wyłącza każdy z uczestników regularnych spotkań, przychodząc na nie. Z cech twardziela zostaje tylko chęć zostania samcem alfa i wywyższenia się. Opowiadane są różne historie, charakterystyczne jest zwiększenie w nich intensywności wydarzeń i podkreślenie męskości w stopniu bardzo znaczącym. Są to przerysowane dokonania karmiące głodnych wrażeń kolegów. Wzajemna motywacja. Otwarta nienawiść lub cicha i zamknięta przyjaźń. Niepisane paktów albo otwarcie prowadzone wojny to cechy najbliższe szatni. Przedzierając się przez spocone koszulki i wdychając zapach męczyzny, słyszysz, kto kogo nienawidzi. Używając tylko wzroku, jesteś w stanie jednym spojrzeniem dostrzec więzi przyjaźni i pozytywne lub negatywne fale. Żale i inne emocje przyjmowane są ciepło w grupach przyjaciół, jednak jako całość, zgodnie z niepisaną zasadą, grupa jest twarda. I lepsza od innych grup. Nieustanna walka trwa otwarcie i uczciwie. Cechy dobroci i pobłażania, pomoc innym, lepsze są do pokazania na korytarzu. Łączy on szatnię z wieloma pomieszczeniami. Jest strefą neutralną, strefą obserwacji. Obserwacji zachowań grup i demonstracji siły. Otwartość zanika, a pojawia się dyskretne oraz bardzo dyplomatyczne pokazanie, kto może więcej. Nic dziwnego, w strefie neutralnej ciężko wybuchnąć otwartym gniewem, zwłaszcza przy obecności członków drugiego obozu. Drugi obóz to właśnie jedno z tych szczególnych miejsc, do których prowadzi korytarz. Z wzajemnością uznany brak wstępu dla samców do takich pomieszczeń uzasadniany jest intymnym charakterem tychże. To już pierwszy element z fałszu, jaki można tam znaleźć, nawet bez zaglądnięcia. Inne elementy poukładane z sensem bliskim nicości wypełniają pomieszczenie. Z relacji szpiegów i bardziej samczo-przyjacielsko nastawionych członków obydwu obozów różnią się od samego wejścia. Z szoku, jaki wywoła spocona

koszulka, można przejść do pozornie pachnącego i zwodzącego nas ku sobie pomieszczenia. Pomieszczenia dziwności, w którym pod przykrywką pudru czają się wszelkie niebezpieczeństwa i najbardziej chytre plany podrzucenia kłody pod nogi. Tutaj wszystko jest na odwrót. Żale wymawiane są głośniej, natomiast przechwałki skryte razem z planami ataku na inne grupy. Tam nie ma demonstracji siły i przerysowania rzeczywistości, przerysowane są natomiast plany, marzenia, a zwłaszcza oczekiwania. Podejścia obozów w strefie neutralnej mogłyby być podobne, bo bliskie są dyplomacji i dyskrecji. Natomiast błąd to komunikacja i jej oczekiwanie. Jedni chcą w słowach, a otrzymują w myślnych gestach, brakiem zachowania harmonii byłoby, gdyby chęci drugich nie były odwrócone. Przychylnie, korytarzowe komentarze między członkami drugiego obozu rażąco wyróżniają się na tle wyzwick i otwarcie wypuszczanych ciężkich słów członków obozu męskości. To wszystko tworzy jednak swego rodzaju ład. Dzięki obozom zamkniętym mamy okazję poukładać myśli i plany, natomiast korytarz służy do ich realizacji. Jednostki rzadko zaglądające do swoich szczególnych pomieszczeń są pozbawione opieki swojej grupy, stają się odizolowane, a ich kontakty z przeciwnym obozem stają się utrudnione. Myśli tychże jednostek kumulują się, tworzą pewien kocioł, który wybucha w najmniej odpowiednim momencie i w najmniej odpowiednim miejscu. To jednak czujni obserwatorzy i z racji, że najdłużej ze wszystkich przebywają na korytarzu, mogą stanowić rzetelne źródła informacji. Zazwyczaj jednak cena jest wysoka, to osoby skomplikowane, jak wspomniałem wyżej, niewyzwalające w ustronnym miejscu i pod odpowiednią opieką swojego gniewu.

Morał, najcięższy chyba do wywnioskowania, ma potencjalnie duże szanse na brak swojego istnienia. Ta nieustanna gra toczy się już długo i powoli. Nie wiadomo, dokąd zmierza; całkiem możliwe, że jest bezcelowym skutkiem braku umiejętności porozumienia tak bardzo różnych jednostek i grup. Jedyne rozwiązanie to radzić sobie i trzymać się mocno w grupie lub zostać jednostką odizolowaną, traktowaną jak cenne źródło informacji i doradca teoretyczny. The game is on.



Oddam serce w dobre ręce!

Marcin Mirzyński

NIEPOTRZEBNE? TO ODDAJ!

Bylem ostatnio w kinie. Tak, tak sam się sobie dziwię, że nie użyłem torrentów, ale przed filmem Tomasz Kot, grający głównego bohatera, doktora Religę, podziękował mi za wybranie legalnego źródła w ramach kampanii Legalna Kultura, więc się opłacało.

„Bogowie” - to najnowszy przedstawiciel naprawdę dobrego polskiego kina, i choć nie w stylu „Psów” czy „Vabank” to jednak wejdzie na naszą top-listę. Nie będę jednak recenzować samego filmu, gdyż nie chcę odbierać pracy Arturowi. Skoncentruję się na problematyce poruszanej w nim, a dokładniej transplantologii.

W dalszym ciągu (moim zdaniem, głównie poprzez naszą polską mentalność) decyzja na temat oddania organów po śmierci nie jest taka oczywista, jakby się to mogło wydawać. Wielu naszych rodaków jest na tyle samolubna, że woli całe swoje ciało zabrać na tamten świat, zamiast podzielić się jego częściami z potrzebującymi. Przypomnę tylko, że nic nas to nie kosztuje, a tam – po drugiej stronie nam już ono nie jest potrzebne.

JAK TO DZIAŁA?

Aby pobrać części ciała do przeszczepu, należy najpierw stwierdzić śmierć pnia mózgowego. W świecie medycznym (na tle dzisiejszej wiedzy medycznej) jest to stan całkowicie potwierdzający, że pacjent jest martwy. Stwierdzenie tego przez anestezjologa jest konieczne i niezbędne do zadecydowania o dalszym losie ciała nieżywej już osoby. W tym momencie reszta organów działa tylko dzięki wspomaganiam maszyn. Mówiąc najprościej - nie ma kto „nakażać” chociażby sercu, że powinno pracować.

Lekarze oceniają także stan narządów, które z nich nadają się do transplantacji. Po zdobyciu tych wszystkich informacji mają obowiązek otrzymać zgodę rodziny zmarłej osoby, a następnie wykonać operację przeszczepu. Należy jeszcze dodać, że nasze ciało traktowane jest z należytymi honorami zgodnie ze sztuką chirurgii, więc nawet wystawienie ciała w czasie pogrzebu w otwartej trumnie jest jak najbardziej możliwe. Więcej informacji na ten temat można znaleźć na stronie www.dawca.pl. Zachęcam wszystkich do zapoznania się z tą witryną i w razie świadomej decyzji, wysłanie zgłoszenia z prośbą o wydanie karty oświadczenia woli dawcy. Może więc każdy z nas, świadomie zadecydować o swoich narządach, „wyręczając” niejako swoją rodzinę w podjęciu tej decyzji. Sam to zrobiłem, a za dodatkową opłatą wynoszącą „zatrważające” 10 zł, dostałem gumową opaskę na nadgarstek oraz wsparłem szczytny cel, jakim jest działanie organizacji za to odpowiedzialnej.

Oddanie organów nic nas nie kosztuje, a może uratować życie innym! „Nie zabieraj swoich narządów do nieba – one są potrzebne tu na ziemi!”



Indie: część 5

Tomasz Nowiński

NA ZIMOWY CZAS W POLSCE KOLEJNE WSPOMNIENIA Z GORĄCYCH INDII.

Pobudka. Czas wstawać. Znowu nowe miejsce. Khajuraho [kadźuracho]. Miasto X - i XI - wiecznych świątyń. Ale po kolei.

Dzień wcześniej po długiej podróży dotarliśmy na miejsce. Trzeba było przed spaniem napisać jakieś notatki, sprawdzić sprzęt, przerzucić zdjęcia z kart na pamięci zewnętrzne i naładować akumulatory. Oczywiście obowiązkowo posilek i prysznic. Noc minęła bardzo szybko. Wstaliśmy o godzinie 7.30 i po śniadanku pojechaliśmy do położonej niedaleko grupy świątyń. Jak już wspomniałem, wybudowane zostały w X i XI wieku. Są zachowane w niesłychanie dobrym stanie. Zostały odkryte dopiero w w. XVII przez Anglików. Wykonane są z białego piaskowca, pokryte niezliczoną ilością płaskorzeźb na całej ich powierzchni. Przedstawiały one bogów, sceny bitewne i poprzęplątane były Kamasutrą. Ogrom tych świątyni i bardzo dobry stan, w jakim się zachowały, sprawia niesamowite wrażenie. Część najbardziej zniszczonych została odrestaurowana. Zespół budowli został w 1986 roku wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Narodowego UNESCO.

Następnie zjedliśmy obiad w lokalnej restauracji, a raczej na jej dachu. Roztaczał się z stamtąd przepiękny widok na wszystkie świątynie. Po posiłku czas na małe zakupy. Razem z tatą upatryliśmy sobie ręcznie rzeźbionego, drewnianego słonia, jednak cena wyjściowa opiewająca na 720\$ była dość zaporowa. Po dłuższych negocjacjach wpisanych w indyjską kulturę oraz kilkukrotnym wychodzeniu ze sklepu, udało nam się go nabyć za 340\$, co stanowiło niecałą połowę ceny początkowej.



Po zakupach powrót do hotelu i błyskawiczna decyzja o wyjeździe dżipami na safari. W porównaniu do Afryki było ono ubogie, lecz po tych wszystkich martwych materiałach trochę fauny i flory dobrze robiło. Najwięcej było antylop, małp, pawów, szakali i saren. Niestety, mój aparat miał małe problemy techniczne i musiałem wziąć od taty drugi. Postanowiłem sobie, że po następnym takim problemie jak zacięta migawka rozstaję się z firmą na C. Aparat w czasie takiej wyprawy nie może zawodzić. Niestety, wykrakałem, lecz o tym innym razem. Na miejscu tata razem z całą grupą wybrał się na wycieczkę łódką po jeziorze z aligatorami. Ja jednak, z niedostatku czasu na wszystko, wybrałem wspinaczkę po skałach. Następnie wróciliśmy do naszego hotelu. Wieczorem jeszcze wypad do świątyń na pokaz światło-dźwięk, bardzo często organizowany w Indiach dla turystów. Polegał on na odpowiednim podświetlaniu różnymi kolorami świątyń i opowiadaniu ich historii przez lektora. W tle podłożone są przeróżne dźwięki.

Po tym powrót, kolacja, prysznic i zmęczeni udajemy się do spania. Następnego dnia czeka nas czternastogodzinna podróż po drogach bardzo złej jakości.

Billy Elliot

Artur Kawala

DZIŚ NAZWALIBY GO GEJEM, A JEDNAK NIE UMÓWIŁ SIĘ ZE SWOIM PRZYJACIELEM. (NIE)MĘSKI BALET I PERYPETIE 11-LATKA W STARCIU ZE STEREOTYPEM.

Film „Billy Elliot” to jedna z tych produkcji, które po seansie wprawiają w bliżej niezdefiniowany, a nawet można powiedzieć, że naiwny wręcz optymizm.

Seans zaraża widza swymi pozytywnymi wibracjami, które rozjaśniają barwy na świecie i mogą pełnić rolę lekarstwa bez recepty na stany ogólnego przygnębienia. Słowem, jeśli miałbym zabrać ze sobą kilka rzeczy na zimowy, dwutygodniowy pobyt w odludnej chatce, na dnie torby znalazłby się „Billy Elliot”.

Film Stephena Daldry’ego opowiada o 11-letnim, chłopcu, którego życie nie jest usłane różami. Rodzina mieszka w małym górniczym miasteczku, w którym każdy dom jest do siebie w przygnębiający sposób bliźniaczo podobny. Jego ojciec i brat większość dni spędzają na strajkach w związku z zamknięciami kopalń. Matka chłopca zmarła kilka lat wcześniej, a do tego w domu mieszka zapominająca się babcia, którą cały czas trzeba mieć na oku. Ojciec Billy’ego chce zrobić z syna mężczyznę, toteż nie akceptując jego zamiłowań do muzyki i gry na pianinie, relikwie po żonie, posyła go na kurs bokserki. Na zajęciach 11-latek spostrzega grupę dziewczyn, trenujących balet i tak zaczyna się jego – jak się później okazuje – wielka przygoda z tańcem.

Obraz Daldry’ego uderza w tony o ostrym kontraście, które wygrywają na pół poważną, a na pół dziecinnie naiwną, lekką historię życia chłopca, na którego twarzy cały czas uporczywie maluje się zarówno wściekłość, jak i ambitna zaciętość. Szykanowany przez ojca i brata za swój „dziewczęcy” popęd do baletu, zamyka się w sobie ze swą pasją. Personalnie sam jest do niej uprzedzony, ale konflikt pomiędzy rzekomą niemęskością a odkrytym w sobie talencie rozwiązać chce sam. Szuka zrozumienia w przyjaciele Michaelu, a wsparcia w swej nauczycielce – niespełnionej tancerce. W budzący sympatię sposób nie boi się powiedzieć tego, co myśli. Mimo tego, że ma tendencję do palenia za sobą mostów, to wrodzony urok hamuje destrukcję wywołaną pochopnie

wypowiedzianymi zdaniem.

Seans toczy się tak, że w jego połowie możemy już przewidzieć prawdopodobne zakończenie, ale wszystko to jest nieważne, bo bardziej niż fabuła, która – trzeba przyznać – nie jest bardzo wyszukana, w „Billym Elliocie” liczą się emocje. A tutaj, mimo częstych dramatycznych momentów, cały czas widać przebijające się pozytywne przesłanie, niczym uparte słońce widziane przez chmury. Wesołe, niepoprawne podrygi chłopca na tle szarego miasteczka, jego homoseksualny przyjaciel, „Czy pani leci na mnie?” skierowane w stronę starszej nauczycielki, niedoszły romans z jej córką, ekspresja utkana z brytyjskiego akcentu bohaterów – wszystko to w świecie „Billy’ego Elliota” traktujemy naturalnie, dajemy się kupić tą niemożliwą do rozegrania w realnym świecie historią. Łączą ją jednak z naszym światem wiele uniwersalnych prawd, może banalnych, ale to banały najczęściej gubimy w splątanej codzienności naszego życia. Wiara w ambicję, ugięcie siebie dla bliskich, zrozumienie potrzeb, wymiana egoizmu na drobinki altruizmu; wystarczy jeden mały wielki chłopiec, aby przypomnieć o tych małych wielkich rzeczach.

„Billy Elliot” jest przykładem, że film nie musi posiadać ani drugiego dna, ani tony akcji, ani silić się na skrajne emocje, aby przyciągnąć bardzo blisko siebie widza. Duża jego siła tkwi w silnej identyfikacji widza z głównym bohaterem. Odbiorca może być nastolatkiem, dzieckiem, mężczyzną czy kobietą, starszą parą; zawsze poczuje więź z 11-letnim tancerzem baletowym. Reżyserowi udało się osiągnąć coś wspaniałego. Pomimo pójścia w jasno określoną formę pozytywnych przerysowań, nic nie jest sztuczne, wymuszone i co ważniejsze – cukierkowe. Byłbym wdzięczny kinu, jeśli serwowałoby więcej tak niepoprawnie optymistycznych w swym brzmieniu tytułów. Byłaby to doskonała terapia dla nas wszystkich – żyjących w rzeczywistości często zbyt poważnej i traktującej wiele ekscesów bez dystansu, z przesadną racjonalnością.

